



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



POLE STACJI DOŚWIADCZALNEJ BOTANICZNEJ NA POŁONIE PORZYŻEWSKIEJ (CZARNOHORA).

fot. ze zb. dr. E. Romera.



## WIANO I POSAG. 5)

### b) Posag w znaczeniu stolca weselnego.

Obrzęd weselny ruski (rusiński) rzuca na tę sprawę jeszcze dzisiaj zupełnie jasne i wystarczające światło.

Jak już zaznaczyliśmy wyżej, mają rusini w swym języku wyraz posag (brzmi u nich posah) w znaczeniu wyposażenia młodej przez rodziców, ale prócz tego nazywa się u ludu ruskiego posagiem (posah) także miejsce, na którym w czasie wesela siadają państwo młodzi lub także rodzice młodych, kiedy mianowicie mają błogosławić nowożeńców, wybierających się do ślubu. Zwyczajnie miejsce to pod obrazami, przy ścianie, naprzeciw drzwi wchodowych, urządzenie zaś jego, stosownie do okolic w niektórych szczegółach różne, ale w zasadniczych rzeczach takie samo. Urządzenie bardzo proste: ściana, przy niej ława, przy ławie stół: to powtarza się zawsze i wszędzie, zmienia się tylko dekoracja, niekiedy także nazwa. Co do dekoracji, to ściana nie zawsze próżna: zwyczajnie wbija się w nią dwa lub trzy kołki, odpowiednio rozmieszczone, i albo przewiesza się przez nie kawał płótna (ręcznik) albo też kołki się rozszczepia i wtyka w nie garście zboża: powstaje przez to rodzaj baldachimu nad głowami siedzących na ławie<sup>1)</sup>. I ława nie jest zwyczajnie goła, lecz okryta kożuchem, odwróconym kudłami do góry<sup>2)</sup>, kilimem<sup>3)</sup>, weretą<sup>4)</sup>, prześcieradłem<sup>5)</sup>, białym ręcznikiem<sup>6)</sup>. Stół bywa także czemś nakryty, na pokryciu zaś leży chleb, sól, kołaczki, które w czasie błogosławieństwa rodzice biorą do rąk i trzymają nad głowami młodych. Całe to urządzenie zowie się zwyczajnie posagiem (posah), przez co rozumie się siedzenie, tron, jak to wyraźnie wynika z pieśni weselnych, śpiewanych, kiedy młodzi lub ich rodzice mają zasiąść na posagu:

A letiły<sup>1)</sup> husy<sup>2)</sup> czerez<sup>3)</sup> sad,  
A czas tobi, Maryczko, na posah!  
A szczoż wam biły<sup>4)</sup> husy do toho,  
Do luboho posahu moho?  
Je u mene baticzko<sup>5)</sup>  
Do moho posażeczku!<sup>6)</sup>

Hoj, kryknuty try łebedi<sup>7)</sup> na brodu,  
Taj kłykały<sup>8)</sup> mołodeńku, do domu:  
Chodyż, ty mołodeńko, do chaty,  
Bo czas tobi na posah sidaty<sup>9)</sup>.

Na kałynoczci<sup>10)</sup>  
Dwi<sup>11)</sup> jahodoczci<sup>12)</sup>:  
Błohosłowy<sup>13)</sup>, Boże,  
I oteć i maty,  
Twojemu ditajaty<sup>14)</sup>  
Na posah sidaty<sup>15)</sup>.

Posażono<sup>16)</sup> Anulu  
Na tym pysznom posazi...<sup>17)</sup>

Ale posag nie jest jedyną nazwą tego siedzenia czy tronu. W przerośni zowią to pieśni weselne tereniem, t. j. teremem „zamkiem“. W Chełmskiem np., kiedy družba urządza posag, starościna śpiewa, że buduje teren, jednakże nie na długie przebywanie, gdyż tylko od soboty do środy (na czas wesela):

1) Leciały.

2) Gęsi.

3) Przez.

4) Białe.

5) Ojczulek.

6) Kolberg O. Pokucie, I, 324.

7) Łabędzie.

8) Wołały.

9) Siadać. Kolberg O. Pokucie, I, 298—299.

10) Na kalineczce.

11) Dwie.

12) Jagódeczki.

13) Błogosław.

14) Dziecięciu.

15) Kolberg O. Pokucie, I, 233.

16) Posadzono.

17) Kolberg O. Chełmskie I, 195.

1) Kolberg O. Chełmskie, I, 192—342. Pokucie, I, 224—336.

2) Kolberg O. Pokucie, I, 280.

3) Kolberg O. Pokucie, I, 255.

4) Kolberg O. Pokucie, I, 255.

5) Kolberg O. Chełmskie, I, 223—224.

6) Kolberg O. Chełmskie, I, 195.



Nasz družbońko t e r e ñ buduje,  
A w tym tereni ne w nusie<sup>1)</sup> buty —  
Od sobotońki do seredonki<sup>2)</sup>.

Ale przenośnia nie może wchodzić w rachubę, przytaczamy ją tylko dlatego, że daje bliżej poznać rzecz samą. Zato u huculów już nie w pœzyi i przenośni, ale w najzwyczajniejszej prozie zamiast posah mówi się już to stołec, już to oslin<sup>3)</sup>. Stołec to nasz staropolski stolec, oznaczający, jak wiadomo, „krzesło, tron“, tutaj zaś (u huculów) „krzesło, ławkę przed stołem“, a „oslin“ to nasze „osłona, zasłona“, tutaj zaś także „stołek, ławka“<sup>4)</sup>,

1) Nie długo.

2) Kolberg O. Chelmskie, I, 223.

3) Kolberg O. Pokucie, I, 255, 276.

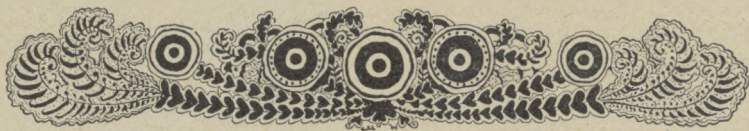
4) Kolberg O. Pokucie, I, 255, 276.

okryta, podobnie jak stołec, kilimem, weretą, ręcznikiem, skąd też właśnie (od tej stałej na niej osłony, ilekroć służyła za stolec dla znamenitszych osób) poszła jej nazwa oslin, synonim stolca i posagu... I posag teraz zupełnie jasny.

U nas nowożeńcy mają przydomek p a n a (pan-młody) i p a n i (pani-młoda, panna-młoda); jest to tytuł, który pierwotnie przysługuje tylko władcom. Jakoż u rusinów, pan-młody zowie się k n i a ż, a pani-młoda k n i a h y n i.

Jak do tego przyszło, nie możemy na tem miejscu wywodzić, stwierdzamy tylko fakt, zresztą powszechnie i dobrze znany, ażeby nadmienić, że skoro młodzi w słowiańskim ceremoniale weselnym występują jako władcy, toć nic dziwnego, że się dla nich buduje tron, który u słowian, jak w staropolszczyźnie, zowie się stolec.  
C. D. N.

S. Matusiak.



## Warszawa w połowie XVII st.<sup>5)</sup> (dok.)

Nie tu zresztą miejsce rozszerzać się nad tem, co w braku podstawowych badań u źródeł musi pozostać na razie mglistą hipotezą; poprzestańmy na podkreśleniu faktu i dziś już nie podlegającemu wątpliwości, że w zabudowywaniu Warszawy ówczesnej aż nadto wiele pozostawione było przypadkowi, jeżeli nie samowoli, że jednak z drugiej strony rozbicie przedmieść na kilka organicznie związanych grup, rozbicie zapoczątkowane w najbardziej zamierzonych czasach piastowskich, nabierało coraz większej wyrazistości.

Od najniepamiętniejszych czasów istniała i rozwijała się Długa czy jak ją podówczas zwano niekiedy Szeroka, a tuż obok niej łącząca ją z ogniskiem centralnem, z zamkiem—Przeczna, później na Miodowniczą, czy jak ją dziś zwieemy Miodową, przechrzczona. Jakże zresztą jeszcze obie odległe od wyglądu, jaki im nadał wiek XVIII, od czasów, w których przy ul. Miodowej stały dwa dworki i 13 pałaców, a cała połać ul. Długiej od klasztoru brygitek po dziedziniec wspaniałego pałacu Krasińskich zajmowały szczelnym szeregiem pałace, dziś jeszcze w upadku swym i nędzy nadające tak wybitne

piętno tej części miasta. W owe czasy, pomimo dużego ruchu handlowego, licznych gospód, cekauzu, klasztoru brygitek i konwentu pijarów, mieszkali tu przeważnie inni ludzie, jakiś Hans puszkarz, jakaś Adamowa mularka, Andrzej Hulc „slosarz“ czy Eliaszowa Kozaczka, a wielkie przestrzenie zajmować musiały ogrody patrycyatu miejskiego, Dzianotów, Fukierów, Baryczków i Gisseggo oberstera, niepośledniego widocznie obszaru, jeśli cztery wyżej wymienione zapłaciły okupu szwedzkiego 350 złp. Równoległe z tą prastarą arterią, którą według tradycyi wywieziono zwłoki ostatniego z Jagiellonów do Krakowa, rozwijała się nowsza droga, stanowiąca dział między gruntami folwarku starościńskiego i „rolami“ miejskimi—ulica Senatorska. Samo już zestawienie nazw, które ta ulica kolejno w owych czasach przybierała, jest wielomówiące. Początkowo było to poprostu trzecie „pole“ folwarku starościńskiego, pole, na którem, jak mówi lustracya z 1564 roku, dużo tylko „piasku się uradza“; to też zwie się to po prostu „na piaskach“. Dla czego też sama ulica zwała się „Bykową“, trudno dziś dociec, łacniej zrozumiała i z naturą grun-



tu związaną byłaby inna nazwa, tamtym dwóm współczesna, „Obóz królewski“, zwłaszcza gdy się uwzględni, że się obozy pod miastem chętniej na piaskach, niż na ogrodach uprawnych zakłada. Później usunął się ten długi szereg nazw przed mianem „Reformackiej“, łatwo od 1613 r., od daty fundacji przez Zygmunta III klasztoru, zrozumiałej i ostatecznie ustąpił całkiem już dziś pustej i beztreściwej nazwie „Senatorskiej“. Oczywiście nie można wątpić, że nazwy tej nie nadano bez wystarczającego powodu, że wzdłuż drogi-ulicy stać musiały istotnie liczniejsze dwory i pałace senatorskie, z których jednak w żywej pamięci utkwiły trzy tylko: pałac prymasowski, rozpoczęty już 1593 r., a od 1613 r. urzędowa siedziba pierwszego senatora Rzeczypospolitej, „Gołubskie“ Grudzińskiego starosty gołubskiego przy zbiegu z drogą Bielańską, i drewniany dwór Adama Kazanowskiego, już przy samym wale na miejscu późniejszego pałacu Mniszchów, dzisiejszej resursy kupieckiej. Dwa inne pałace nie tylko dorównyujące pałacowi Kazanowskiego na Krak.-Przedm., ale może go pod niektórymi względami przewyższające: pałac Jerzego Ossolińskiego K. W. K. i Mikołaja Daniłowicza, podsk. lit., leżały już poza linią ulicy, choć się z nią pośrednio stykały, zwłaszcza drugi, który oprócz bramy z „pola“, od Bielańskiej, miał inną „z przyjazdu od Senatorskiej“.

Już z takiego najpobieżniejszego przeglądu widać, jak dalece impulsem rozwijającego się poza obrębem właściwego miasta życia była wyłącznie szlachta; niewątpliwie przedmieścia te zalane były również mnóstwem dworków, niekiedy może nawet, choć rzadko zapewne kamieniczek warszawskich, jakichś rzemieślników czy wolnych ludzi nieherbowych. Lustracja z r. 1660 mówi wyraźnie, że folwark starościński obsiedli „mieszczankowie“, ale małego to musiały być lotu ptaki, skoro nic po nich nie pozostało, prócz imion chyba w starej, zapylonej bibule. Nie oni to folwark starościński przekształcili w r. 1850 na jurydykę Grzybów, tylko imć pan starosta warszawski, potomek starej szlachty mazowieckiej Jan Grzybowski. Nie oni też z drugiej strony ul. Senatorskiej fundowali jurydykę Leszno — boby zresztą po temu ani mocy nie mieli, ani prawa nie uzyskali — jeno można szlachta wielkopolska — Leszczyńscy. I choć może godne jest ubolewania, że się już wówczas Polska zdobyć nie mogła nawet w jednym ze swych miast głównych na bogate, mocne majątkiem i mocne przedsiębiorczością mieszczaństwo, trudno zaprzeczyć, że ci ludzie, którzy podówczas pa-



KSIEŻACZKA Z POW. ŁOWICKIEGO.

fot. ze zb.

trycyat miejski stanowili w Warszawie, zbyt słabe już mieli ręce, by rozwój miasta na szerokie pchnąć tory. Pomoc rąk postronnych, choćby twardych, choćby samolubnych, była niezbędna.

Niewięcej widać śladów pracy mieszczańskiej przy wielkiej drodze, stanowiącej przedłużenie dzisiejszego Krak.-Przedmieścia, przy drodze, która już wówczas zyskiwała miano Nowego-Świata. Więcej ich tam było niż gdzieindziej, bo grunty drogą nadań czy kupna nadawane były przeważnie mieszczaanom, ale i tam niebawem duże połacie ziemi garnąć zaczęły pod siebie jurydyki, bądź duchowne jak Nowoświecka pp. marcinkanek, jak Tamka i Kałęczyn pp. szarytek, bądź magnackie — jak Aleksandrya ks. Zasławskich. Po mieszcza-nach ledwo tylko głuche gdzieśgdzie w nazwach zostały wspomnienia, jak bodajby w dzisiejszej Wilczej po dawnych wójtach warszawskich Wilkach-Kałęckich, pierwotnych z nadania posiadaczy folwarku Kałęczyna.

Nawet tuż pod murami miejskimi wyparty



## L U D O W E.



Pol. Tow. Kr.

KSIĘŻAK Z POW. ŁOWICKIEGO.

ich ręce możniejsze, ręce też, powiedzmy, śmielsze. Pod samem Starem miastem, na odwiecznych gruntach mieszczańskich usadowiła się jurydyka kapituły Zadzikowskiej fundacyi, i tegoż Zadzika rąk dzieło—pałac b-pów krakowskich, na miejscu dawniejszego dworca margrabiów brandeburskich, na jeszcze wcześniejszych gruntach Czajki, „mieszczanka“ warszawskiego. Nieublagane konsekwencye żelaznej logiki faktów party ich murem w cień, w noc, której brzask był jeszcze bardzo odległy.

Tylko tam u siebie, w kamiennem kolisku skromnych ale krzepkich murów staromiejskich czuli się jeszcze krzepcy. I tylko tam, gdy zawiął nowy, świeży, mocny bądź co bądź dech nowej epoki wazowskiej, obrodziła dość gruba dotychczas kultura mieszczan warszawskich owocem bujnym i zdrowym, choć może niezbyt wykwintnym. Zbyt są mgliste, zbyt mało znane i ujawnione przyczyny, które się na rozwój i ukształtowanie tych zjawisk złożyły, dość jednak wyraźne, by już dziś pewne ogólnikowe granice nakreślić. Podłożem była oczywiście jak

zwykle zamożność, długotrwały dobrobyt kilku pokoleń, szukający wyrazu dla zaspokojenia potrzeb wyższego rzędu, cofający się z pewną odrazą przed prostactwem ludzi i społeczeństw poczynających. Już się były osiadły rody z dawien dawna zamożne—Gizowie czy Burbachowie, Zembrzusczy czy Baryczkowie—już tym ludziom, urodzonym i wychowanym w dostatkach, otartym na szerszym świecie, skóra na rękach wydelikatniała. Później, iść zaczęły nowe, mocne fale ludzi obcych, różnych Hamerów, Kornów, Montelupich, Gianottich czy Orlemusów, ludzi z dalekiego przeważnie zachodu, o krwi subtelniejszej, o umysłach śmiałych, woli mocnej. Wraz z nimi czy obok nich iść zaczęły rzesze tych, bez których żaden postęp na polu kultury artystycznej nie byłby możliwy—artystów i rzemieślników, ściąganych do monumentalnych jak na owe czasy i owe miejsca przedsięwzięć budowlanych królewskich, magnackich, szlacheckich.

I dlatego jako wypadkową tych krzyżujących się wyjątkowo pomyślnych warunków noszą kamienice rynku staromiejskiego tak wybitną cechą owej epoki. Niejedna z nich sięga fundamentami, wątkiem murów okresów wcześniejszych, czasów piastowskich, w niejednej z nich kłęski późniejsze wybiły dotkliwie szczyby, niemniej dotkliwie nieraz przez mniej fortunnych naprawiaczy łatanie. Ale tło ogólne, pęd i rozmach, z jakim zostało podmalowane, czy choćby tego rozmachu i pędu ślady—pozostały po dziś dzień widoczne. Czy weźmiemy na stronie „zamkowej“ „złoćistą“ kamienicę Stanisława Baryczki, czy na „prawej“ ku Wiśle zwróconej śmiałe sklepienia i arkady u Gianottich, czy wykwintną tablicę Zembrzuskich—Kluczników, prastare ławy i okręt Fukierowskiej winiarni, czy wreszcie i przede wszystkim prześlizną sieni Baryczkowską na stronie „miejskiej“ i perłę zabytków warszawskich—przepiękną tej kamienicy snycerszczyznę—wszystko to dzieła jednego mniej więcej okresu—pierwszej połowy XVII stulecia. Dzieła zresztą, jak to już na pierwszy najpobieżniejszy rzut oka widać, bynajmniej niejednakowego polotu, nie dające się do wspólnego, jednolitego mianownika wartości artystycznej sprowadzić. Odrazu, nawet patrząc okiem profana, widzimy, że względnie najstarszą jest w tem architektura, sztuka koronująca niejako rozwój kultury estetycznej, wymagająca poza tem dla pełnego rozwinięcia się szerszego miejsca, swobodniejszych warunków, niż mógł im je dać ciasny rynek ex-stolicy prowincjonalnej. Brak zresztą może było wzorów dość wzniosłych, brak



Wawelu i Maryackiego kościoła, brak natchnionych artystów i wykwintnych do szpiku kości mecenasów. Brak Warszawie owoczesnej nie tylko genialnego artysty-budowniczego, brak jej również jego niezbędnego uzupełnienia — dobrze wyszkolonego majstra mularskiego. Łuki, arkady, czy wsporniki sklepień i odrzwia tych domów doby Zygmuntovej zdradzają czasem pewną śmiałość pomysłów, prawdopodobnie podpatrzonych gdzieindziej — przy równocześnie jednak dość daleko idącej grubości, niekiedy wręcz niezdarność wykonania. Może to być pięknym zadatkiem rodzącej się kultury, dalekie jest jednak od doskonałej prawidłowości dzieł sztuki skończonych. Wyżej stoi to, co jest łatwiejsze, co bardziej też wkracza w dziedzinę sztuki stosowanej i rzemiosła: kamieniarstwo. Wszystkie te tablice erekcyjne, grobowce, odrzwia, głowy i ozdoby ścienne zdradzają prawie zawsze rękę śmiałą, pewną, o dużej rutynie, o dużej też umiejętności kopiowania widzianych gdzieindziej pomysłów czy parafrazowania ich w sposób mniej lub więcej oryginalny. I jest tego jeszcze do dziś dnia — po tylu nielitościwych kłeskach — mnóstwo. Nietylko w samym rynku, ale i na ulicach przyległych — na Kanoniach, na Świętojańskiej i Gołębiej, prawie na każdym domu spotkać można bodajby smacznie wykuty profil odrzwi kamiennych czy tabliczkę z gmerkiem lub literami i datą.

Jeszcze wyżej stoi sztuka najbardziej może tutaj rodzima — kowalstwo artystyczne. Nie były tu konieczne długie i zmudne studia, tem mniej wysoki polot fantazyi, gdy się brało motywy z konieczności bardziej proste, z łatwością spotykane zresztą w sztukach pokrewnych, importowane zewsząd; wystarczało pewne wrodzone poczucie artystyczne i wielka wprawa, wyrobienie czysto już rzemieślnicze. To też tych niezliczonych kratek nadprożnych, okuć drzwi, kołatek, klamek, balustrad schodowych mogłoby pozazdrościć Warszawie niejedno ze znaczniejszych od niej zbiorowisk dzieł sztuki i zabytków przeszłości. I nic tak może nie maluje ówczesnego poziomu i potrzeb estetycznych mieszczaństwa warszawskiego, jak te zbędne pod względem praktycznym cacka żelazne, w których wytwarzający je artysta-rzemieślnik i strojący w nie dom swój patrycyusz wedle sił swoich piękno chwalili. Nie można dość odżałować, że zaginęła u nas niemal doszczętnie inny, pokrewny rodzaj zabytków sztuki stosowanej — okazy snycerszczyzny ozdobnej. Jeśli sądzić z przepysznych wprost poręczy schodowych w domu Baryczków (Nr. 54), ze wspa-

niałych tamże belek nie już tylko profilowanych, ale rżniętych kunsztownie — szkoda to nieodżałowana.

Ale próżnemby zapewne było żałośnie się rozwodzić nad stratą oderwanych od całości fragmentów — jakichś bujnie a kunsztownie zdobionych schodów, jakiegoś szlachetnie pomyślanego pułapu — tam, gdzie ginęły niszczone czy zbezkształcane całe środowiska dzieł sztuki, będące najpełniejszym wyrazem danej epoki. Mówię o katedrze warszawskiej. Zapewne, nie była ona nigdy, jak krakowska, jak gnieźnieńska, potężnym akordem najgłębszych i najczystszych tonów, zebranych przez wszystkie wieki i po wszystkich zakątkach bogatej kultury ojczystej. Nie imponowała też rozmiarami: — niewielka fara niewielkiego miasta. Nie rzeźbił w niej Wit Stwosz, nie stawał cudnych kaplic Zygmuntowskich Berecci.

Nie była też wyłącznym dziełem rąk i czasów warszawskich — rozpoczęta przez Piastów, uzupełniona i wzbogacona obficie przez sasków i St. Augusta. Niemniej przeto wolno mniemać, że na żadnym innym miejscu nie zestrzeliły się czynniki kultury warszawskiej z epoki Wazów tak obficie w jedno ognisko, jak tu właśnie, nie dały tyle z siebie wedle sił swoich, wedle przyrodzonych warunków miejsca i czasu. I dlatego tak żywem po dziś dzień przezierają do nas obliczem, nawet z pod tej pięknej, poprawnej, zimnej, bezgranicznie obcej nam szaty, w jaką lekką ręką, lżejszem jeszcze sercem podobało się ubrać je Idzkowskiemu w czasie swej niefortunnej restauracyi. Niema już, może nieco ciężkiej, ale doskonale z kamienicami rynkowemi zharmonizowanej Władysławowskiej fasady frontowej, zniknął z ziemią zrównany szereg kaplic bocznych, zniszczono i wyrzucono wręcz po barbarzyńsku mnóstwo pomników, nie przechowując ich kształtów bodajby w wiernej kopii rysunkowej. A jednakże dość rozejrzeć się chłodno badawczem a gorąco miłującym spojrzeniem po świątyni, dość wziąć w piersi głęboko jej przedziwną atmosferę, aby odczuć, że wartość kościoła, jako pamiątki narodowej, stanowi nie ten sztuczny, tu w tem miejscu bezmała natrętny, płaszcz angielsko-gotycki, tylko te ocalałe gdzieniegdzie „dla braku funduszków“ na dokończenie restauracyi okruchy doby wcześniejszej, doby, która umiała wiarę swą i tęsknoty, nadzieje i umiłowania zakląć w kształt skromny ale własny.

I wtedy dopiero, otrząsnąwszy się z pod pierwszego, przytłaczającego wszystko wrażenia obcości, zaczynamy stwierdzać z pewnem radosnem wzruszeniem, jak wiele tu tych szczątków



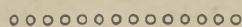
ocalało: od wielkich poważnych drzwi wejściowych poczynając, do wspaniałego wielkiego ołtarza, od spokojnie pięknych obramień kilku ołtarzów, dawniejszych wejść do kaplic, do konfesyonałów ze ślicznymi aniołkami, uśmiechającymi się jak amorki, od wdzięcznych drzwi ze snopkiem wazowskim w nawie prawej do szlachetnej chrzcielnicy renesansowej w nawie lewej. I wtedy dopiero, jakby złudą życia owiane, mówić do nas zaczynają, zstępować na kamienną posadzkę ze ścian, gdzie je do wiekistego snu ułożono, niezliczone postacie ludzi, co na tych murach tak niezatartą cechę swych rąk położyli. Starzy to znajomi z Rynku, z przedmieść i z sąsiednich uliczek. Ci sami ludzie i ta sama sztuka: czy to będzie w różnorakie marmury strojny Zygmunt Kazanowski, ojciec posiadacza przepychów i wspaniałości z Krak.-Przedmieścia, czy skromniejszy o całą skalę, ale niezgasłem zda się życiem tchnący Stanisław Drewno, ojciec niezapomnianego burmistrza powietrznego, Łukasza. Linie tablic i pomników naogół więcej niż poprawne, zdradzające przeważnie, jak tam na Rynku, rękę śmiałą, pewną, niekiedy, jak we wspomnianym pomniku Kazanowskiego, wręcz wytworne, owiane świeżą jeszcze, ciepłą reminiscencją świetniejszej tradycji odrodzenia krakowskiego. Twarze, w rzeźbie czy w malowidle, mocne, bardzo indywidualne, bardzo żywe, świadczące, że już podówczas w Warszawie sztuka nie była kwiatem egzotycznym wyłącznie. Gdzieśgdzie jak liść strasznym wichrem oderwany i rzucony daleko od pnia, jakiś w lewej nawie fragmentaryczny herb Baryczkowski bez pomnika, jakaś nad wejściem z kruchty twarz kobiety nieznaney, zapomnianej. Z pod uniwersalnej napuszonej łaciny więcej jeszcze niż na ulicach staromiejskich przeziera niebywała różnorodność narodowości, barwność nowej, mocnej fali cudzoziemczyzny, napływającej za królem pół-obcym, królem zresztą ściągającym artystów z odległego, obcego świata. Ale czy to będzie wyglądający ze swego ślicznego pomnika muzyk królewski Aspricio Pacelli, czy normandczyk Laufscheff, czy francuz Alancy lub Horlemes holender, Gianoti włoch albo niemiec Plum, czy zresztą swojskie całkiem latorośle Baryczkowie lub Zembrzusczy — wszyscy oni tu już, na gruncie warszawskim, na ziemi rdzenie polskiej, stonowują się zaczynają bezwzględnie, dopasowują się do jednej, wielkiej, wszechogarniającej całości. Bez względu na to czem byli, co przynieśli ze sobą, przyjmą się

na tym jałowym pozornie gruncie mazowieckim wybornie i jednym zakwitną kwiatem, jeden wytworzą aliaż o dźwięku czystym i pełnym.

Prawda, że nastąpi to znacznie później dopiero. Pod względem czysto politycznym, jeśli chodzi o żywiołową odporność narodową, czekać trzeba będzie sto kilkadziesiąt lat, do epoki sejmu wielkiego, do czasów Dekerta i Kilińskiego. Pod względem sztuki, takiej sztuki, któraby była najgłębszym, najszczerzym, a zarazem najczystszy wyrazem pokolenia współczesnego, czekać trzeba do dziś dnia, tęsknić i spodziewać się, pragnąć i zawady z drogi uprzętać. Ale do miejsca, na którym dziś stoimy, przysłiśmy drogą przez tamtych — z Warszawy Wazów — wskazaną.

Trudno byłoby chcieć dziś z niezachwianą pewnością powiedzieć, jaką byłyby się te sprawy potoczyły koleją, gdyby nie przeszkody zewnętrzne. Czy doszłoby już wówczas, bezwzględnie do całkowitego rozkwitu kultury szczerze i bezwzględnie polskiej. Czy się miało wogóle ku jej rozwojowi, zatrzymującemu się dopiero u ostatecznych kresów naturalnego rozwoju duszy ludzkiej? Czasy nie były po temu. Rwał się i pękał niejeden z węzłów, wiążący nas z najbardziej szczytnymi przejawami ówczesnej kultury europejskiej, słabła i rozprzęgała się moc wewnętrzna, przyciągająca, jak każda moc, najlepsze nieraz jednostki dalekiego zachodu. W każdym razie oprócz tych przeszkód i utrudnień wewnętrznych, twardym, niemiłosiernym ciosem dla przetrwującej się kultury Warszawy ówczesnej były katastrofy zewnętrzne, w pierwszym rzędzie ów straszliwy orkan pierwszego najazdu szwedzkiego. Legło wszystko bezmała, co ledz mogło, w gruzy, podcięto, co gorsza, u samego korzenia dobrobyt ludności miejskiej, rozpedzono ludzi, zrabowano skarby bezcenne. Jeśli pomimo wszystko potok do pierwotnego powrócił łożyska, jeśli już za Sobieskiego zaczęło się miasto nie tylko rozrastać, ale i zdobić, jeśli dłuższym, cichszym ale niepowstrzymanym procesem wsiąkał co dzień głębiej w te kosmopolityczne dusze mieszczańskie polski obyczaj i duch polski — znaczy to nie co innego, jeno, że w tym pierwszym odrazu momencie przeradzania się Warszawy na stolicę Polski sprawa była postawiona mocno i zdrowo. I dla tego każdy, bodaj drobny, bodaj nikły okruc tamtych czasów godzien jest naszej najbaczniejszej uwagi, naszego najbardziej na wszystkie błędy i niedociągnięcia wyrozumiałego umiłowania.

*Stanisław Thugutt.*





## Nieznany pałacyk na Solcu w Warszawie.

Na Solcu, niedaleko warsztatów żeglugi parowej znajduje się zagadkowy budynek, o historii którego krążą różne podania. Budynek ów to niewielki pałacyk położony w głębi posesji Nr. hip. 2932 (policyjny 37) pomiędzy Solcem a ulicą Czerniakowską. Wybudowanie tego pałacyku jedna legenda przypisuje Sanguszcze, druga Kazimierzowi Poniatowskiemu. Obaj ci magnaci posiadali w sąsiedztwie pałacyku, o którym mowa, rozległe obszary i stąd

wicza i przez szereg lat pozostawał w jego rękach. Pierwotny właściciel umieścił herb swój, zwany Symonowicz, na frontonie pałacyku. Z rąk barona de Symonowicza posesya przeszła na własność Józefa Niedziałkowskiego, starosty długoleckiego, który w czasie sejmu czteroletniego w końcu r. 1788 wystawił na sprzedaż swoją posiadłość. Ciekawe ogłoszenie o sprzedaży brzmiało dosłownie jak następuje: „Magazyn na Solcu pod Numerem 2932 nad Wisłą sy-

tuowany, dawniej Barona de Symonowicza, a teraz Niedziałkowskiego starosty Długoleckiego własny z Pałacem, Szpichlerzami, Stajniami, Wozowniami, Oficynami i Browarem wielkim ze wszystkimi porządkami, tudzież dworkami i chmielnikiem jest do przedania. Referencya do Właściciela tegoż Magazynu także mieszkającego“. Starostwo niegrodowe długoleckie, które było w posiadaniu właściciela tego pałacyku znajdowało się o dwie mile na północ od Kutna. Po wyjściu z rąk Nie-



PAŁACYK NA SOLCU Nr. 37 W WARSZAWIE.

fol. M. Wisnicki.

powstały legendy. Postać zewnętrzna samego budynku świadczy, że powstał on w połowie wieku osiemnastego; podobny jest bardzo do pałacu Brylowskiego, jakkolwiek znacznie od niego mniejszy. Pochodzenie jego jest skromniejsze niż mu legenda przypisuje. Wystawiony został za Augusta III przez barona de Symono-

działkowskiego pałacyk był kolejno w posiadaniu krótszem lub dłuższem kilku niewybitnych właścicieli. W pierwszej połowie wieku dziewiętnastego posesya ta należała do Łucyi Dahlen, wówczas istniał w niej jedyny w Warszawie młyn cylindrowy, który mieścił się w oficynie od ul. Czerniakowskiej.

*Jan Kwiczniewski.*







fol. M. Wisznicki.

ŚPICIRZE NA SOLCU W WARSZAWIE.

oooooooooooo

## Bronisław Znatowicz.

Ciężkie warunki polityczne, ciężące nad krajem, brak własnych instytucji naukowych, któreby promieniowały na szersze warstwy społeczeństwa polskiego, sprawiają, że w półmroku, panującym nad ziemią naszą, tylko błyskawice wstrząśnień powszechnych lub „obchody jubileuszowe“ uwidoczniają, wyprowadzają na jaw te niezwykle zasłużone dla kraju jednostki, które bądź dla właściwości temperamentu, unikając zgietku i rozgłosu, bądź dla zbyt małej „dostępności“ i popularności uprawianego przez nie przedmiotu — przez długie szeregi lat ukrywały się w cieniu zapomnienia i nieuznawania zasług...

Takim właśnie „odkrytym“ dopiero przy blasku obchodu jubileuszowego pracownikiem niezmordowanym a zasłużonym jest Bronisław Znatowicz, redaktor „Wszecchświata“ i „Pamiętnika Fizyograficznego“.

Ale bo też Znatowicz, wytrwale przy warsztacie gromadzenia materiałów naukowych fizyograficznych, oraz popularyzowania wiedzy przyrodniczej stojąc — rozgłosu nie szukał i nie znajdował, a przyrodniczość ściśle naukowe wogóle i chemia w szczególności w żadnym razie nie mogą być jeszcze u nas uważane za przedmioty „popularne“, i to jest pe-

wna, że gdyby Znatowicz położył w dziesiątej bodaj części tyle zasług na polu literatury pięknej — beletrystyki lub publicystyki — to surmy dziennikarskie ogłosiłyby go już dawno — za człowieka opatrnościowego...

Takie już się u nas urobiły stosunki nie-normalne na skutek wybujałego kultu do sztuki i tego wszystkiego, co codziennością swą przed oczy nasze ciągle jest stawiane, a niedoceniania lub wprost zaniedbania tego, co stanowić winno podwalinę myśli zbiorowej i zbiorowego czynu w narodzie — przyrodniczości i krajoznawstwa.

Br. Znatowicz z zawodu jest chemikiem. Po skończeniu Uniwersytetu Warszawskiego zajmował kolejno stanowiska asystenta prof. Freunda we Lwowie (w r. 1873), asyst. przy katedrze chemii technicznej i organicznej Uniwersytetu Warszawskiego (w r. 1874) i wreszcie asyst. przy katedrze chemii teoretycznej (w r. 1879).

Pomijamy tu zasługi Znatowicza jako chemika, praktyka i autora; podnieść natomiast winniśmy to, co zdziałał on dla naszego krajoznawstwa.

Że przyrodniczość ogólna, a w szczególności znajomość kraju rodzinnego ze strony



fizyograficznej stanowią dziś podwalinę wszelkiego krajoznawstwa ogólnego, że od przyrody kraju wszelkie studia naukowe krajoznawcze rozpoczynają się muszą, jako od fundamentu, o tem niema najmniejszej wątpliwości, to też nie ulega zaprzeczeniu, że grunt do dzisiejszych prac krajoznawczych w Polsce przygotował w znacznej mierze Znatowicz, wydając od roku 1882 „Wszechświat“ oraz od r. 1892 — „Pamiętnik Fizyograficzny“.

W uznaniu tych zasług Znatowicza Zarząd Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego zwołał w dniu 12 czerwca r. b. nadzwyczajne Zebranie ogólne w Warszawie i złożył mu następujący wniosek:

„W spełnieniu zadań, jakie ma przed sobą Towarzystwo Krajoznawcze, spotyka się ono z trudnościami tak zewnętrzną jako i wewnętrzną natury. Wśród trudności tych — wymienić należy przede wszystkim niedostateczne zbadanie naukowe kraju pod względem fizyograficznym.

Każdy badacz u nas, który poświęcić się chce studjom naukowym, spotyka się z niezliczoną ilością nietkniętych zupełnie tematów i sponać przytem musi za naród swój rumieńcem wstydu, że tych prac, które są dokonane — dokonali w znacznej mierze nasi sąsiedzi z zachodu, lub nawet ze wschodu.

Każdy zaś popularyzator, który szerzy chce krajoznawstwo — spotyka się z ignorancją ogólną lub obojętnością, gdyż ogół nie jest w to wdrożony.

Przyczyny tych zjawisk szukać należy przede wszystkim w niedomaganiach szkolnictwa naszego, jakie gnębiły u nas nauczanie publiczne przez długi okres czasu, szczególnie w zakresie przyrodoznawstwa i geografii; brak nauce również oddanych uczelni oraz wyższych instytucji naukowych o charakterze społecznym.

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach badania przyrodnicze, wymagające szkoły, zalegały odłogiem.

W bieżącym tygodniu grono przyrodników warszawskich uczci obchodem jubileuszowym człowieka, który przez 25 lat w niezmiernie ciężkich warunkach prowadził pracę w tym właśnie tak zaniedbanym u nas kierunku — wydawał między innymi istniejące od lat 30 jedy-

ne w języku polskim pismo — specjalnie przyrodoznawstwu poświęcone, i był jednocześnie redaktorem drugiego, poważnego wydawnictwa, poważnym studjom fizyograficznym poświęconego; ostatni tom wydawnictwa tego nosił numer 20. Nr. 21 wyjdzie obecnie już pod firmą Tow. Krajoznawczego.

Oba te organy — jeden ściśle naukowy, drugi popularny z konieczności zastępować musiały brakujące instytucje — naukową i uczającą w zakresie przyrodoznawstwa, skupiając przy redakcji swej nieliczne nasze siły naukowe — przyrodnicze.

Człowiek ten więc przygotował poniekąd grunt, na którym powstać mogło przed 6 laty nasze Towarzystwo Krajoznawcze i na którym obecnie odradza się ruch naukowy fizyografii ojczyściej.

Jeżeli dodam, że człowiek, o którym tu mówię, wyróżnia się niezwykle tak rzadkim u nas hartem charakteru i jeszcze rzadszą wytrzymałością — w ciągłym staniu na straży dobra publi-

cznego i naszych interesów narodowych, że przyczynił się w wybitny sposób do ustalenia polskiej terminologii naukowej, że wydawane przez niego pisma szerzyły w swoim zakresie poprawną polszczyznę, to — sądzę — wszystko to będzie chyba w zupełności uzasadniało, dlaczego dziś Zarząd Polsk. Tow. Krajoznawczego stawia wniosek:

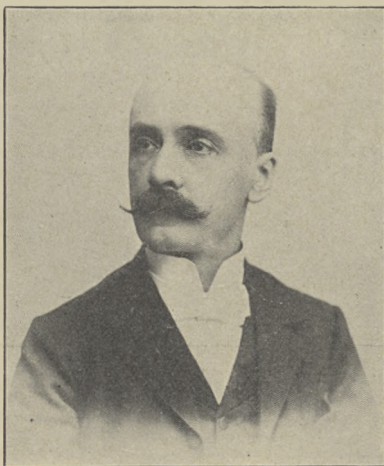
Mianowania członkiem honorowym naszego Towarzystwa redaktora przekazanego nam obecnie „Pamiętnika Fizyograficznego“ oraz „Wszechświata“ — Bronisława Znatowicza“.

Wniosek ten jednomyślnie uchwalono.

Dnia zaś 15 czerwca na obchodzie jubileuszowym w Wielkiej Sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa delegacja Zarządu Głównego Tow. Krajoznawczego w osobie prezesa K. Kulwiecia złożyła wśród licznych adresów i przemówień pod adresem jubilata, dyplom następującej treści:

„Od chwili, gdy ciężkie dla kraju losy zgasiły z mazołem rozniecone ognisko nauki polskiej, i zdawało się, że naród w mrok złowrogi coraz bardziej zapadać będzie, nieliczne tylko jednostki w swoich umysłach, sercach i charakteru harcie przechowywali żar tłumionej tradycji i żywili iskrę nauki z przygaszonych ognisk rodzinnych zabraną.

Przy błyskach tych iskier jedni szli ku



BRONISŁAW ZNATOWICZ.



prawdzie własnymi ścieżkami, torując je własną mocą, ku szerszemu traktowi ogólnoludzkiej nauki doprowadzając, inni, o ścieżkach tych samorodnych i mozolnych i o postępach nauki obcej—rodakom wieść nieśli.

Tyś, Czcigodny Jubilacie, był dla kraju jedynym z takich pełnych hartu i umiłowania do prawdy, którzy na szczególnie zaniedbanym terenie — na gruncie wiedzy przyrodoznawczej dla kraju niepoślednie położyli zasługi.

Gromadząc w 20 tomach „Pamiętnika Fizyograficznego“ liczne samodzielne wysiłki i zdobywcze naukowe myśli polskiej, skupiając przy organie tym nieliczne jednostki, studiom fizyograficznym oddane, oraz informując szerszy ogół o postępach przyrodoznawstwa w wielkich ogniskach pracy naukowej we „Wszechświecie“, Tyś użyźniał ten grunt, na którym przez ciężkie

lata naszej dezorganizacji naukowej przechowały się szlachetne ziarna miłośnictwa przyrody i ukochania idei badań krajoznawczych, te ziarna, które dziś, pod opieką naszych odradzających się organizacji naukowych wykiełkowały i niewątpliwie plon obfity wydadzą.

To też dziś, gdy ścieżki badań naukowych w kraju nieco się rozszerzyły, gdy przed żywiołowym pędem narodu ku światłu i samopoznaniu stawiane nam zapory nieco się rozluźniły, w uroczystym dniu obchodu 30-lecia Twej owocnej pracy Polskie Towarzystwo Krajoznawcze stwierdza Twe wielkie zasługi dla krajoznawstwa polskiego i przejmując spuściznę Twej wytrwałej pracy, składa Ci, Czcigodny Jubilacie, wyrazy najwyższego uznania, prosząc o przyjęcie tytułu swego Członka Honorowego o“.

*K. Kulwiec.*



## Jaskinie na wyżynie Małopolskiej.

Gdy obecnie Polskie Towarzystwo Krajoznawcze podjęło myśl zaopiekowania się zabytkami przyrody kraju, do których zaliczają się i jaskinie, to, jako wstęp do przyszłych prac nad ich ochroną i badaniem, dają ogólny zarys rozmieszczenia jaskiń na wyżynie Małopolskiej.

Woda, przeważnie atmosferyczna, nasycona kwasem węglowym, gdy przesiąka w głąb skał przez szczelinę, działa roztwarzająco na jej ściany i unosząc węglan wapnia, przeistacza tą drogą szczelinę w dużych nieraz rozmiarów jaskinię.

Jest to najzwyczajniejszy sposób powstawania jaskiń. Tylko południowo-zachodnia część Królestwa Polskiego, na której obszarze zalegają, tworząc pasma górskie, pokłady wapniaka, może takie jaskinie posiadać, gdyż margle wyżyny Lubelskiej nie są czule, ze względu na domieszczę gliny, na kwas węglowy. Wapienie południowo-zachodniej części Królestwa należą przeważnie do trzech formacji geologicznych: dewońskiej, tryasowej i jurajskiej.

Góry Kielecko-Sandomierskie, w których wapień dewoński tworzy jedną z największych części składowych, są już bardzo stare, mocno zniszczone, o szerokich dolinach tektonicznych,

a wązkich i niskich pasmach górskich, a wapień dewoński po łupkach najbardziej temu zniszczeniu uległ. Działalność erozyjna wód osłabła, a źródeł z tego dużego obszaru wapienia wypływa zaledwie kilka.

Właściwość wapienia dewońskiego, a przede wszystkim liczne spękania, spowodowane silnymi zaburzeniami tektonicznymi, jakim Łysogóry uległy, dawały podatne warunki do tworzenia się w nim jaskiń i musiało być ich wiele w czasach potęgi Łysogór. Dzisiaj na terenie zniszczonym możemy zanotować tylko dwie niewielkie: jedną w Łagowie, a drugą w Czarnowie pod Kielcami; przytem Łagowska posiadająca malownicze wejście, po kilku metrach zagłębienia się w jej wnętrze jest już niedostępna dzięki osuwającym się ze stropu płytom wapienia. Nad Czarną Nidą, obok Marzysza, jest wykuty w skale wapienia dewońskiego niewiadomego czasu powstania niewielki chodnik, niesłusznie zwany jaskinią. Przy eksploataowaniu na wapno góry Kadzielni obok Kielc, natrafiono na szczelinę ze stalaktytami, ale z niej dzisiaj nic nie pozostało.

W budowę gór Kielecko-Sandomierskich wplatają się pasma wapieni tryasu i jury, ale tylko wapień jurajski tworzy pod Małogoszczą



pokaźniejsze wzgórza na niewielkim obszarze; naogół są to pasemka nikłe i jaskiń w sobie nie zawierają. Zatem wyżej wspomniane dwie jaskinie są jedyne na całym obszarze Łysogór.

Płyta wapieni i dolomitów tryasowych, zalegająca na dużym obszarze Zagłębia Dąbrowskiego i tworząca jego krajobraz, jaskiń nie posiada. Powodem tego, oprócz dużego zniszczenia tego poziomu tryasu przez erozyę, dzięki czemu skał odsłoniętych jest niezbyt wiele, jest jeszcze jego płytowość, powodująca rozsiewanie się wody atmosferycznej po warstwach, aż do warstw nieprześlakliwych marglu rëthu, bez skupiania się jej działalności na szczeliny.

O jaskini istniejącej w wapieniu muszlowym tryasu w Dyablej Górze, w okolicy Olkusa (wieś Podlesice), tyle krążyło przesadnych opowieści, że członkowie oddziału Towarzystwa Krajoznawczego z Zagłębia łącznie z olkuszanami, zaopatrzwszy się w aparat ratunkowy, lampy elektryczne, kompas mierniczy, i narzędzia górnicze, w liczbie kilkunastu wyruszyli dnia 28 kwietnia r. b. na zdobycie jej tajemnic. Okazało się, że jest to szczelina skalna, nieobrobiona nawet przez wodę, bo o kańciastych płytach wapiennych, coraz bardziej oddalających od ścian szczeliny i zacieśniających ją. Z trudem udało się nam przeczołgać do 35 met. od wejścia. Urok jaskini nadało kilka spłoszonych nietoperzy, które tłukły się o nas, przerażone światłem elektrycznym.

Terenem skupienia się naszych jaskiń jest pasmo Krakowsko-Wieluńskie, czyli Jura Krakowska. Wapień biały, skalisty jury środkowej bez widocznych uwarstwień, („kołtuniasty“), a spękany z powierzchni swych skał, jest materiałem najbardziej do tworzenia jaskiń podatnym i tę cechę posiada wszędzie, gdzie tylko w Europie występuje. I Jura krakowska uległa już dużemu zniszczeniu, tworząc dziś z dużego niegdyś pasma górskiego płaskowzgórza ze słabym krążeniem wód podziemnych.

Należy przypuszczać, że z dawnego jej tryasowego charakteru, z labiryntami podziemnych jaskiń, pozostały tylko ślady pod postacią stromych skał i dolinek bezwodnych na płaskowzgórzach.

Obecnie w skałach płaskowzgórza Jury

Krakowskiej oprócz licznych dziurawców, istnieje kilka jaskiń większych: „Olsztyńska“ — stalaktytowa we wzgórzach Olsztyńskich, „Zegar“ i „Jasna“ we wzgórzach smoleńskich i obok Jasna na gruntach wsi Strzegowy; większość jaskiń natomiast skupia się w dolinach kanionowych okolic Ojcowa, gdzie najczęściej jest obnażeń skał. Wymieniam te największe: „Łokietkowa“, „Ojcowska“, „Jasna“, „Kościarnia“, „Zbójecka“, „Wierzchowska Górna“, „Mamutowa“, „Jerzmanowicka“, a jest jeszcze kilka innych godnych zwiedzania, nie licząc dziurawców.

Wszystkie one są znane i zwiedzane; tylko w dolinie Raclawickiej (Raclawice olkuskie) istnieje jaskinia, o której nie wiem, czy dotąd była zwiedzona. Ma ona pionowe wejście, jak studnia. Skała, w której się znajduje, jeżeli się nie mylę, nazywa się „Grzmiączką“.

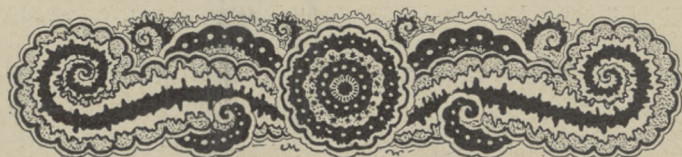
Znaczna ilość tych jaskiń jest już martwą t. j. suchą o tyle, że nie jest w stanie tworzyć już skorupy krystalicznego wapienia na suchych ścianach. Jaskinie o ścianach mokrych, ze ściekającą po nich wodą są w stanie same wybielić się po okopczeniu przez zwiedzających krystalicznym osadem w ciągu lat kilkunastu. Robię to przypuszczenie na podstawie obserwacji chodników i szybów murowanych w kopalniach, gdzie mamy swego chowu stalaktyty. Takimi jaskiniami należy się przedewszystkiem zaopiekować.

W Pińczowskim i Stopnickim w miocenie utworzyły się gniazda gipsu, który woda łatwo rozpuszcza, pozostawiając po nim próżnie nieraz znacznych wymiarów. Jest to drugi u nas rodzaj jaskiń, co do ich sposobu powstawania. Tutaj działalność w ich tworzeniu nie ustaje, jak w tryasie. Grunt pod kołami dudni, wskazując na istnienie próżni; sklepienie tych próżni zapada się, a na powierzchni tworzą się lejkowate wgłębienia. Strumienie nikną w szczelinach, przenosząc działalność swoją pod ziemię.

Z jaskiń tego typu już dostępnych, znana jest jaskinia w Skorocicach, obok Buska, mająca do 100 met. długości.

Istnienie tych jaskiń ze względu na niezbyt mocne sklepienie, nie zdaje się być długowieczne.

*P. Przesmycki.*



## ZABYTKI POLSKIE.



PEYTA z XV W. z GROBOWCA rys. Jan Olszewski.  
BARBARY z KOSSOWA w KOŚCIELE w CHODOWIE.

## Z Pol. Tow. Krajoznawczego.

+ We środę d. 12 czerwca w Wielkiej Sali Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie odbyło się miesięczne zebranie członków Pol. Tow. Krajoznawczego pod przewodnictwem prezesa K. Kulwiecia, który zdał sprawę z czynności Towarzystwa za ubiegły miesiąc, komunikując, iż eksponaty wystawy „Krajobraz Polski“ po zwinięciu jej w Łodzi przewiezione zostały do Wilna, na wystawę, którą urządził w lokalu swym „Sokół“ wileński, że delegaci Komisji fizyograficznej rozpoczęli już w różnych miejscowościach swe studia naukowe oraz gromadzenie materiałów fotograficznych. Komisya wydawnicza posiada już dużo cennego materiału, zakwalifikowanego do druku, musiała jednak ograniczyć swą działalność dla braku niezbędnych środków.

W obchodzie jubileuszowym Uniwersytetu lwow-

skiego reprezentował Towarzystwo Krajoznawcze członek-korespondent, prof. E. Romer.

Komisya fotograficzna przesłała na Wystawę Architektoniczną do Krakowa zbiór ilustracji, charakteryzujących budownictwo polskie.

Na obchód jubileuszowy Bronisława Znatowicza Zarząd delegował swych przedstawicieli w osobach: K. Kulwiecia, M. Wisznickiego i K. Stolyhwy.

Nowych członków na liście warszawskiej przybyło Towarzystwu w ciągu miesiąca 60.

Z kolei p. Edmund Jankowski, prezes Tow. Ogrodniczego, wygłosił referat p. t. Wrażenia z wycieczki do południowej Słowiańszczyzny — z wycieczki odbytej nad Adryatyk do ziemi słoweńców i chorwatów, ilustrując piękne krajobrazy tych malowniczych krain licznymi przezrociami.

W końcu wiceprezes Al. Janowski zdał sprawę z ruchu wycieczkowego w bieżącym sezonie oraz zapowiedział program wycieczek na czas wakacyjny — lipiec i sierpień, komunikując jednocześnie, że staraniem Komisji dochodów niestałych we czwartek dn. 20 czerwca odbędzie się dla członków i wprowadzonych gości wycieczka towarzyska Wisłą — w okolicy Warszawy na statku „Pan Tadeusz“.

Na miesiące wakacyjne Komisya wycieczkowa zaprojektowała 5 wycieczek:

I. 14 lipca Otwock — Góra Kalwary. Wycieczka podąży pociągiem do Otwocka, skąd ruszy pieszo przez Karczew, Stary Otwock, następnie prawym brzegiem Wisły do wysokości Góry Kalwary. Przez Wisłę przeprawi się łodziami i z Góry Kalwary powróci kolejką lub statkiem. Przewodnikiem będzie p. Koszutski.

II. 28 lipca Sochaczew — Żelazowa Wola — Trojanów (ujście Utraty do Bzury). Wyjazd kolejką do Sochaczewa, skąd pieszo do Żelazowej Woli przez Trojanów i z powrotem do Sochaczewa. Powrót do Warszawy pociągiem na 9 wieczorem. Przewodnikiem będzie p. Maszki.

III. 1 sierpnia do Miedzeszyna. Pieszko waleń miedzeszyńskim do Miedzeszyna. Powrót do Warszawy łodziami o zachodzie słońca. Przewodnikiem będzie p. Szelażek.

IV. 25 sierpnia. Wycieczka pieszo do Raszyńa i Falent pod przewodnictwem p. Al. Janowskiego.

V. 8 września. Kolejką do Czarnej Strugi i okolicznych lasów. Przewodnikiem będzie p. T. Koszutski.

Zamykając zebranie miesięczne, przewodniczący zagaił jednocześnie Zebranie nadzwyczajne ogólne, zwołane w celu wyboru nowych członków honorowych.

Wniosek o mianowanie członkiem honorowym Tow. Krajoznawczego Bronisława Znatowicza przedstawił od Zarządu K. Kulwiec (obacz art. o Br. Znatowiczu) — Tadeusza Korzona zaś — Aleksander Janowski.

Oba wnioski przez aklamację jednomyślnie przyjęto.



Zebraniu Ogólnemu przewodniczył dyrektor Witold Wróblewski, protokół prowadził prof. W. Jaćmowski.

Zebranie zamknięto o godzinie 11 wiecz.

Z dniem 20 czerwca rozpoczynają się ferye wakacyjne Zarządu Głównego Towarzystwa oraz wszystkich jego komisji.

Sprawy jednak niecierpiące zwłoki załatwiane będą w ciągu całego lata przez kancelaryę Zarządu oraz przez jego pojedynczych przedstawicieli, którzy będą przez lipiec i sierpień obecni w Warszawie.

+ Dnia 5 czerwca wyruszyła z Warszawy do Olkusza wycieczka pod kierunkiem p. Stanisława Lencewicza. Następnego dnia rano stanęli uczestnicy na miejscu, gdzie gości oczekiwali: prezes Olkuskiego Oddziału Tow. Kraj. inż. Minkiewicz, oraz pp. Al. Janowski i M. Skarżyński. Ze stacji ruszono pieszo do źródeł Baby, wypływającej w odległości paru wiorst od Olkusza ze szczelin skalnych lub też wprost z pod ziemi. Stąd skierowano się wzdłuż rzeki, by obserwować jej bieg, meandry stare i nowe, wreszcie zanikanie jej w piaskach i wilgotnych łąkach. Po drodze udzielali rzeczowych objaśnień p. Łopuski, oraz kierownik wycieczki. Następnie udano się do Rabsztyna. Na zwaliskach starożytnego zamku obronnego wypowiedział słów parę o jego położeniu geologiczno-geograficznym. Potem, po dłuższym odpoczynku skierowano się polami na pustynię Błędowską, leżącą na północ od Bolesławia. Droga z powodu dnia upalnego była uciążliwa. Na pustyni, będącej prawdopodobnie dnem wyschłego jeziora, spędzono czas pewien dla odpoczynku, po czym ruszono z powrotem do Olkusza. Droga wiodła częściowo wzdłuż sztolni Ponikowskiej, malowniczo wśród lasów położonej. W Olkuszu, dzięki uprzejmości i prawdziwie staropolskiej gościnności członków miejscowego Oddziału, znaleźli wycieczkowicze dogodne noclegi w domach pp. Buchowieckich, Osmołowskich, Minkiewiczów, Opolskich i Kosowskich.

Całą drogę przebyto pierwszego dnia piechotą, ogółem około 5 mil. Następnego dnia rano udano się wozami do kopalni galmanu „Ulisses“. Po drodze zwiedzono kościół w Bolesławiu. W kopalni oczekiwali wycieczkę inż.: Paderewski oraz p. Krajewski, którzy z niezwykłą uprzejmością oprowadzali jej uczestników po kopalni, udzielali wszelkich objaśnień i informacji. Po zwiedzeniu kopalni wyprowadził p. Krajewski część uczestników przez sztolnię Czartoryską, zwracając ich szczególną uwagę na stary korytarz z XVIII wieku. Następnie zostali wszyscy uprzejmie przez Zarząd kopalni zaproszeni na obiad, po którym udano się na sortownię mineralów. Oglądano tu różne galmany, blendy, dolomity, krystaliczne kalcyty, galeny, gniazda kryształów, pseudomorfozy, piryty, markasyty, limonity i inne. Stąd, podziękowawszy uprzejmym kierownikom kopalni, pojechano na odkrywkę w Bolesławiu, gdzie już oczekiwał wycieczkę inż. Cisowski. Tu uczestni-

cy nie tylko interesowali się bogactwami ziemnymi lecz mogli też podziwiać malowniczy wygląd odkrywki i rozkoszować się jej prawie górskim widokiem. Po obejrzeniu odkrywki i zwiedzeniu sztolni, Bolesławskiej, (na ścianie tej ostatniej znaleziono podobno datę 1385) skierowano się do płóczek galmanu, łamaczy surowego materiału i bębnow sortujących, zwiedzono również kotłownię, poruszającą cały ten przetwórczy dział kopalni. Objaśnień udzielał inż. Cisowski. Uczestnicy tak interesowali się wszelkimi szczegółami i żądni byli informacji, że wycieczka przeciągnęła się nieco dłużej, niż pierwotnie było w planie, gdyż dopiero wieczorem powrócono do Olkusza. Tu przyjezdni skorzystali raz jeszcze z uprzejmie ofiarowanego im noclegu. W sobotę rano, po zwiedzeniu miejscowego kościoła (ciekawa biblioteka niestety była z powodu procesji niedostępna), wyruszone z powrotem do Warszawy.

+ Dnie 12 maja odbyło się Zebranie miesięczne członków Tow. Krajoznawczego w Oddziale Zawierckim.

P. Izaak wygłosił referat na temat „Motyle, mrówki i pszczoły“, poczem Zarząd złożył sprawozdanie ze swych czynności za ubiegły kwartał.

Komisyja wycieczkowa Oddziału zorganizowała 2 wycieczki: jedną — wspólną z Oddziałem w Zagłębiu — do Skarżyc; drugą zaś — do Ryczowa, Ryczówki i Czarnego Lasu.

Dnia 19 maja odbyła się wycieczka Oddziału do cementowni Klucze i do Rabsztyna.

Dnia 28 maja na Zebraniu członków Oddziału Zawierckiego odbył się odczyt wiceprezesa Oddziału w Zagłębiu na temat: „Zwyczaj wielkanocne w dawnej Polsce“ — ilustrowany licznymi przezroczami.

Komisyja fizyograficzna gromadzi materiały do wydania albumu poświęconego Zawierciu i jego okolicom.

P. doktorowa Zaszuszyńska zajęła się ułożeniem zielnika najbliższych okolic Zawiercia.

Stwierdzić należy, że działalność krajoznawcza Oddziału Zawierckiego w roku bieżącym znacznie się wzmogła.

+ Począwszy od dnia 24 marca 1912 r. do dnia 6 czerwca, t. j. w ciągu dwóch i pół miesięcy Oddział Łowicki P. T. Kr. zorganizował pięć wycieczek, w których przyjęło udział 449 osób.

Pierwsza wycieczka odbyła się po Łowiczu, uczestniczyło w niej 100 osób, w tem połowa ze wsi.

Drugą wycieczkę skierowano do Warszawy; — w liczbie 43 uczestników było 34 włościan z Księstwa Łowickiego. Wycieczka zwiedzała pod przewodnictwem pana Al. Janowskiego w ciągu dwóch dni: kościoły, Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Wystawę „Krajobraz polski“, Wystawę Sztuk Pięknych, zatrzymując się najdłużej przed „Pochodem na Wawel“, zbrojownię Krasińskich, Łazienki, a w nich „Biały domek“, Pragę. W dniu pierwszym wycieczka była w teatrze na „Weselu“ Wyspiańskiego, — w dniu drugim na „Placówce“ Prusa, odegranej przez amatorów włościan z Siedleckiego.



Tak pożyteczna ze wszech miar i miła wycieczka była zachętą do stawienia się w dniu 12 maja w Mirosławicach w szkole dla córek włościańskich.

W październiku 1911 roku wyruszyło do Pszczelina 80 osób, przeważnie włościan, w Mirosławicach stawilo się z górą 300.

Koleją, furmankami, na rowerach, pieszo spieszyli księżacy i księżaczki z różnych stron Księstwa, nietylko z okolic Łowicza, ale i Skierniewic. Z miasta były zaledwie cztery osoby.

Wszyscy uczestnicy wycieczki podziwiali pracę uczennic i rozumne kierownictwo nauczycielek. Ogród i pole, mimo długotrwałej suszy, zapowiadały świetne zbiory, w budynkach szkolnych — w sypialniach, pokoju jadalnym, w ochronie, w kuchni, pralni, piwnicy, tkalni, — słowem wszędzie wzorowy porządek i czystość, — trzoda, drób, krowy hodowane racjonalnie według wymagań nowoczesnych. Dzieci z ochrony budziły zachwyt ogólny! Uczennic 70 z górą. Nietylko z Królestwa, ale z Wołynia i Litwy zjechały, aby w ciągu 11 miesięcznego zaledwie pobytu w szkole, rozwinąć swój umysł, a w rozbudzone dusze wchłonąć siłę wytrwania w pracy nad podniesieniem bliższego i dalszego otoczenia! Dzielne to dziewczęta, z ich oczu tryska myśl, energia i umiłowanie pracy pożytecznej.

Ileż siły duchowej posiadać muszą kierowniczki, aby tchnąć zapal do dobrego w tak liczną rzeszę uczennic!

Księżacy wyrażali zadowolenie swe w zdaniu: „Podobało się nam w Mirosławicach, że aż bardzo“, co jest najwyższą w ich ustach pochwałą.

W wycieczce do Liskowa przyjęło udział 47 osób, w tym zaledwie 11 z miasta. Niepodobna streścić w krótkim sprawozdaniu wrażeń, jakie wywołała wycieczka z Liskowa, należałoby tej najbardziej uspołecznionej wsi w Królestwie, poświęcić oddzielny artykuł na łamach „Ziemi“; zaznaczę tylko, że minęło kilka tygodni od wycieczki do Liskowa, a uczestnicy mają wciąż Lisków przed oczyma, mówią o nim na posiedzeniach w kółkach rolniczych, na zebraniach sąsiedzkich i przy każdej nadarzającej się sposobności. Trudno, zaiste, uwierzyć, co zdziałać może jeden człowiek, obdarzony żelazną wolą i ukochaniem podniosłej idei.

Zadowoleni są gospodarze z Księstwa z organizowanych wycieczek i wdzięczni bardzo, to też, gdy Oddział skierował wycieczkę szkolną p. Werekkiej do wsi Łaguszewa pod Łowiczem, włościanie przyjmowali wycieczkę sercem całym. Zapraszali do swych czystych, pięknych chat, częstowali podwieczorkiem, zniewalając do jedzenia, urządzili próbę teatru amatorskiego miejscowego Kółka, a i muzykanci przyszli „z ochoty“ i z sąsiedniej wsi zjechała młodzież; rozbrzmiewał śpiew, muzyka, a towarzyszyła im serdeczna gościnność. A zatrzymywaniu gości nie było końca. Na nieśmiałe pytanie, jak postąpić mamy wobec nakarmienia tylu osób, „sercem za serce płacimy“, odpowiadali gospodarze, „radujemy się, że tak miły dzień spędziliśmy razem“.

Jeden z gospodarzy inaczej sprawę rozstrzygnął:

„Jeśli warszawianki mogą i chcą płacić, to niech płacą na nasze Muzeum krajoznawcze w Łowiczu“.

+ Sekcja wycieczkowa Oddziału Kaliskiego urządziła w maju i początkach czerwca trzy wycieczki: dnia 5 maja pieszą wycieczkę do Nędzyczewa, w dniach 25, 26 i 27 maja wycieczkę w Poznańskie i dnia 2 czerwca wycieczkę do Chelmiec i Opatówka.

Najbardziej interesująca była wycieczka w Poznańskie, w której uczestniczyło 22 osoby. Zwiedzono najprzód starożytne Gniezno z jego wspaniałą katedrą, zawierającą w głównej nawie srebrną trumnę św. Wojciecha, w podziemiach zaś pod prezbiterium grób Dąbrówki. Z Gniezna wycieczkowicze udali się do Kruszwicy, gdzie ze szczytu Mysiej Wieży mogli podziwiać rozległy widok na Gopło i równiny okoliczne; po zwiedzeniu starożytnej kolegiaty w Kruszwicy z licznymi zabytkami, według podania wniesionej na tem samym miejscu, gdzie ongi stała chata Piasta, odbyto na stateczku motorowym przejażdżkę kilkogodzinną po Goplu. Brzegi Gopla, chociaż niskie i prawie wcale niezadrzewione, przedstawiają się jednak nadzwyczaj malowniczo; wiele uroku dodają jezioru maleńkie zadrzewione wysepki, których kilka znajduje się w północnej części jeziora. Następnie wycieczka skierowała się do Inowrocławia, gdzie zatrzymała się krótko, zdążyła jednak obejrzeć miejsce katastrofy, spowodowanej przez zapadanie się ziemi z powodu wymycia przez wodę pokładów soli, leżących w głębi. Przed laty kilku zawałiła się całkowicie jedna ściana w nowowybudowanym kościele, w roku zaś bieżącym przed kilku miesiącami zapadł się zupełnie duży dom trzypiętrowy, na miejscu którego znajduje się obecnie głęboki staw; na powierzchni jego pływają obecnie drewniane belki i deski z podłóg i sufitów domu. Krańcowym punktem, do którego dotarła wycieczka, był Toruń, gdzie zwiedzono kilka starożytnych kościołów, pomnik Kopernika i ruiny pierwotnego zamku krzyżackiego, położone na przeciwnym brzegu Wisły, dokąd przeprawiono się statkiem. Z Torunia powrócono wprost do Kalisza. Wycieczka ta dostarczyła bardzo wiele podniosłych wrażeń, pomimo, że odbywała się w warunkach niesprzyjających, gdyż prawie cały czas dokuczał deszcz.

W dniu 30 maja odbyło się miesięczne zebranie Oddziału Kaliskiego. Obecnych było zaledwie 18 członków. Pan Kazimierz Becki, członek sekcji wycieczkowej, odczytał sprawozdanie z ostatnich kilku wycieczek, poczem nastąpiła krótka dyskusja.

oooooooooooo

#### Przebieg pogody w miesiącu maju 1912 r.

Sprawozdanie Kom. Flzyograficznej P. T. Kr.

W maju r. b. panowała w Królestwie pogoda chłodna, zwłaszcza nocami, przeważnie sucha i dopiero pod koniec wilgotna. Na początku miesiąca



powtarzały się często przymrozki nocne, i jeszcze 9 maja temperatury tu i owdzie spadły nad ranem do 4<sup>o</sup> mrozu i niżej. 10 maja zaczęło się szybko ocieplać pod wpływem wiatrów południowych, lecz już 13 maja ciepły południowy prąd ustąpił miejsca gwałtownym wiatrom północno-zachodnim, a nadmierne ciepło znikło tak prędko, jak przyszło. Po kilku dniach chwiania się temperatury podniosły się znów wysoko, dosięgając 22 maja najwyższych wartości 26<sup>o</sup>—28<sup>o</sup> stopni w cieniu. Potem nastąpiły dni niepoгодne i bardzo chłodne.

Temperatury średnie miesięczne wahają się około 11<sup>o</sup> i są aż o 2<sup>o</sup> niższe od normalnych. Trwanie usłonecznienia tak samo wykazuje niedobór, np. w Warszawie słońce świeciło 190 godzin, gdy w latach ostatnich notowano w maju po 247 godzin.

Panująca od połowy kwietnia susza trwała do trzeciej dekady maja, która miała charakter dżdżysty, zwłaszcza w dniach 25, 26 i 27 maja. Suma opadów, wynosząca przeciętnie 57 m/m w 12—13 dniach, przekroczyła nawet nieco średnią dwunastoletnią (50 m/m), chociaż niektóre okolice, jak część Kaliskiego i Siedleckiego, miały niedobór opadów, gdy tymczasem nadmiar przypadł w udziale Zagłębiu Dąbrowskiemu i południowym powiatom Kieleckiego.

W ciągu całego miesiąca przez Europę przeciągały rozległe choć niezbyt głębokie niżki barometryczne, trzymając się początkowo szlaków północnych, lecz stopniowo przesuwając się bardziej ku południowi. Dnia 23 maja na tle rozległej depresji wytworzyło się we Włoszech szczególne minimum, które z wolna podążyło na północo-wschód, sprowadzając w naszym kraju wilgotne wiatry północno-zachodnie.

Niżej zamieszczone są dane ze stacyi P. T. Kr.

a) Temperatura:

Nowa Słupia: Temp. średnia mies. 12<sup>o</sup>,1. Temp. maks. + 26<sup>o</sup> dnia 22-go. Temp. minim. — 3<sup>o</sup> dnia 2-go.

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 11<sup>o</sup>,0. Temp. maks. + 26<sup>o</sup>,4 dnia 25-go. Temp. minim. — 2<sup>o</sup> dnia 2-go.

b) Opady:

	Wysokość w mm.	Liczba dni
Suchedniów (p. kielecki)	90	13
Bieliny	74	13
Św. Krzyż	73	12
Nowa Słupia	58	12
Jędrzejów (p. jędrzejowski)	116	17
Wysokie (p. krasnostawski)	136	15
Zawiercie (p. będziński)	76	14

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 210 godz.



## Odpowiedzi Redakcyi.

*Ogrodnikowi-amatorowi.* Trawa jest wogóle dobrym przewodnikiem wilgoci — wyparowując wody więcej niż naga powierzchnia gleby. Decydującym czynnikiem jednakże jest tu charakter gleby: grunt gliniasty lub obfitujący w próchnicę pod szatą roślinną będzie wilgotniejszy, niż bez niej.

*Pannu Józefowi P. w Grodnie.* 1) Wydawnictwo pocztówek kaszubskich zamierzone w r. z. zostało zaniechane wobec wydania pocztówek tych przez firmy tamtejsze. 2) Zamek, właściwie pałac, w Radzyniu, zamieszkały do dziś, zbudowany był w połowie XVIII w. przez Eustachego Potockiego.



Red. Kazimierz Kulwieć i nasz kierownik artystyczny p. Mik. Wisznicki wyjechali na studia letnie.

## Od Administracyi.

Prosimy Sz. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na III kw. i II półrocze.

TRĘŚĆ: *S. Malusiak* — Wiano i posag (c. d.). *Stanisław Thugutt* — Warszawa w połowie XVII st. (dok.). *Jan Kwietniewski* — Nieznany pałacyk na Solcu w Warszawie (z 2 ryc.). — *Kazimierz Kulwieć* — Bronisław Znatowicz (z 1 ryc.). — *P. Przesmycki* — Jaskinie na wyżynie Małopolskiej. — Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Poza tekstem. Z naszych krajobrazów: Pole stacyi doświadczalnej na Poloninie Porzyżewskiej (Czarnohora). Typy ludowe z pow. Łowickiego. Zabytki polskie.

Winięty tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i tamał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.